

Garztecki, Stanisław

Historia pewnej konfiskaty : o "Wiadomościach Turystycznych" z 1934 r. (wspomnienia)

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 8/2, 260-270

1969

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

STANISŁAW GARZTECKI

HISTORIA PEWNEJ KONFISKATY

O „WIADOMOŚCIACH TURYSTYCZNYCH” Z 1934 R.

(Wspomnienia)

W latach 1934—1936 byłem redaktorem i wydawcą czasopisma „Wiadomości Turystyczne” w Warszawie. Był to ilustrowany dwutygodnik, ukazujący się 1 i 15 każdego miesiąca w formacie 57×41 cm, o objętości 4 lub więcej stron w zależności od ilości posiadanego materiału, na papierze satynowanym. Pismo było drukowane w zakładach graficznych „Drukprasa”, przy ul. Nowy Świat 54, pod kierownictwem dyrektora Łęckiego. Prenumerata roczna wynosiła 8 zł, odpowiednio półroczna i kwartalna 4 i 2 zł, a numer pojedynczy 35 gr. Od 1 I 1935 r. została obniżona na zł 5, 3, 1,50 i 25 gr.

„Wiadomości Turystyczne” były pismem utrzymującym stały kontakt ze Związkiem Towarzystw Turystycznych, Polskim Towarzystwem Krajoznawczym, Polskim Towarzystwem Tatrzańskim, Automobilklubem Polskim, Wydziałem Turystyki Ogólnej Ministerstwa Komunikacji, Ligą Drogową, Ligą Ochrony Przyrody, Związkiem Uzdrawisk Polskich, Naczelną Organizacją Polskiego Przemysłu Hotelowego i innymi organizacjami, mającymi jakikolwiek związek z turystyką. Na łamach „Wiadomości Turystycznych” ukazywały się sprawozdania tych towarzystw, a ponadto zabierali na nich niejednokrotnie głos wybitni przedstawiciele tych organizacji, jak: b. wicemarszałek Sejmu Ustawodawczego z ramienia PSL-Piast — Stanisław Osiecki, prezes Związku PTT; Józef Kołodziejczyk — sekretarz, a później prezes PTK; prof. dr Władysław Szafer — prezes Państwowej Rady Ochrony Przyrody; prof. Marian Sokołowski — wiceprezes LOP; Stefan Tyszkiewicz — prezes Ligi Drogowej; Halina Minkiewiczowa — dyrektor Związku Uzdrawisk, i wielu innych działaczy, których nazwisk już nie pamiętam.

Na wniosek prezesa Wojewódzkiej Komisji Turystycznej, wicewoje-

wody warszawskiego Franciszka Godlewskiego, w maju 1934 r. zostałem dokooptowany na członka Komisji i brałem czynny udział w jej pracach. Przysłuchując się wypowiedzianym na jej posiedzeniach uwagom na temat konieczności prowadzenia propagandy turystyki w województwie warszawskim, zastanawiałem się nad stworzeniem jakiegoś konkretnego projektu w tej materii. I oto w lecie 1934 r. powziąłem myśl poświęcenia całkowicie jednego z numerów „Wiadomości Turystycznych” propagandzie turystyki na terenie województwa warszawskiego, podkreślając w jego treści i w ilustracjach walory turystyczne oraz zabytki historyczne na tym terenie. Podzieliłem się tą myślą z wicewojewodą, który projekt mój zaakceptował, poprosił o szczegółowe jego sprecyzowanie i przyobiecał wszelką pomoc w jego realizacji, tak ze strony urzędu wojewódzkiego, jak i wszystkich 23 starostw na terenie województwa.

Po naradzie z redaktorem Wacławem Olszewskim sporządziliśmy następujący program tego specjalnego numeru:

1) format albumowy (30 × 20 cm), papier bezdrzewny 120—150-gramowy, okładka kartonowa dwubarwna;

2) ponieważ zebranie i opracowanie materiałów redakcyjnych i ilustracyjnych wymagać będzie dłuższego czasu, przeto numer ukaże się 15 grudnia — jako podwójny — za cały grudzień z numeracją 23/24, a objętość jego, w zależności od zgromadzonego materiału, wahać się będzie od 64 do 96 stron;

3) w kolportażu numer ten będzie kosztował parę złotych, trudno jednak na razie określić cenę, w którą muszą być wkalkulowane zarówno koszty wydawnicze, jak wyjazdy w teren, zdjęcia i klisze itd.;

4) stali prenumeratorzy otrzymają ten numer bez dopłaty jako premię za 1934 rok;

5) biorąc pod uwagę duże koszty organizacyjne i wydawnicze, moglibyśmy podjąć się realizacji tego projektu tylko pod warunkiem, że będziemy mieli zapewnione z góry nabycie przez wszystkie starostwa razem nie mniej niż 2 tysiące egzemplarzy;

6) poparcie ze strony województwa wyrażać się będzie w: a) zgodzie wojewody na umieszczenie na 1 stronie tekstu od góry napisu: „Numer niniejszy, poświęcony turystyce w województwie warszawskim, wyszedł pod protektoratem Pana Wojewody warszawskiego Bronisława Nakoniecznikowa-Klukowskiego”; b) wystosowaniu przez urząd wojewódzki do wszystkich starostów okólnika, wyjaśniającego cel i treść wydania, z zaleceniem udzielenia „Wiadomościom Turystycznym” zamówień na odpowiednią ilość egzemplarzy z tym, że zapłata nastąpi po ich otrzymaniu oraz rachunku administracji „Wiadomości Turystycznych”. Zakupione zaś egzemplarze starostwa powinny rozdzielić według ustalonego przez siebie klucza przede wszystkim pomiędzy biblioteki i czytelnie na swym terenie,

a resztę kolportować bezpłatnie przy rozmaitych okazjach jako materiał propagandowy. Po zamówienia zgłosi się osobiście do starostw upoważniony delegat redakcji „Wiadomości Turystycznych”, z którym każdy starosta uzgodni ilość egzemplarzy dla swego powiatu;

7) na treść numeru złoży się: a) artykuł wstępny wojewody Nakońnicznikowa-Klukowskiego wraz z jego fotografią (redakcja przygotowuje projekt tego artykułu); b) artykuł wicewojewody Godlewskiego jako prezesa Wojewódzkiej Komisji Turystycznej — też z fotografią; c) artykuły fachowców omawiające historię, przyrodę, folklor, zabytki, muzea itd. na terenie województwa, z mapkami wszystkich powiatów i zdjęciami, ze szczególnym uwzględnieniem najciekawszych miejscowości i zabytków, a także informacje o dojazdach do nich z Warszawy koleją lub szosą oraz objaśnienia wytyczonych szlaków turystycznych dla piechurów. Opisy te będą wydrukowane w kolejności alfabetycznej nazw powiatów.

Wicewojewoda zaakceptował ten program i obiecał niezwłocznie przedstawić go wojewodzie celem uzyskania jego zgody; nie zgodził się tylko na zamieszczenie własnej podobizny. Po dwóch dniach otrzymałem od niego telefoniczną wiadomość, że wojewoda zaakceptował program w całej rozciągłości, polecił wysłać odpowiednie okólniki do starostów i będzie oczekiwał w swoim czasie mojej wizyty z projektem artykułu, a fotografię swoją przekaże na ręce wicewojewody dla redakcji. Poza tym wicewojewoda prosił o zakomunikowanie mu wykalkulowanej ceny za egzemplarz, gdyż musi ona być zamieszczona w okólniku, który on przygotowuje i treść jego uzgodni ze mną.

Przystąpiliśmy więc w redakcji niezwłocznie do kalkulacji wszystkich kosztów, preliminując mniej więcej tyleż ilustracji, co stron. Nakład określiliśmy na 5 tys. egzemplarzy. Cena została ustalona w wysokości 4 zł, przy czym część egzemplarzy będzie wydrukowana na papierze kredowym po cenie 5 zł za egzemplarz. W żadnej bibliotece nie znalazłem choćby jednego egzemplarza tego wydania. Moje osobiste 2 egz. na kredzie zginęły w czasie powstania razem z biblioteką i mieszkaniem.

Po zakomunikowaniu wicewojewodzie ceny egzemplarza, uzgodnieniu tekstu i rozesłaniu okólnika wszystko potoczyło się dalej według programu. Kol. Olszewski odwiedził wszystkie starostwa i przywiózł zamówienia na przeszło 2 tys. egzemplarzy oraz notatki do opisów i zdjęcia. Gdy okazałem wojewodzie projekt artykułu wstępnego, powiedział, że właściwie on nie ma nic w nim do poprawienia, gdyż wyraża doskonale, co on chciałby powiedzieć na ten temat. Poprosiłem wobec tego o podpisanie projektu, a następnie o *facsimile*, które skłiszujemy i umieścimy pod artykułem, na co wyraził zgodę. Z drukarnią wszystko poszło gładko, gdyż pracowałem z nią od 10 lat, będąc redaktorem jeszcze innych cza-

sopism. Numer ukazał się 15 grudnia i w ciągu paru dni został wyekspediowany do starostw, prenumeratorów i kiosków. W redakcji pozostało tylko kilkadziesiąt egzemplarzy. Ze względu na przypadające święta nie spodziewałem się wpływu pieniędzy od starostw wcześniej niż po Nowym Roku.

Nagle 30 grudnia około południa zatelefonował do mnie kierownik drukarni, który zawiadomił mnie, że byli u niego dwaj policjanci z nakazem zajęcia grudniowego numeru „Wiadomości Turystycznych”, wystawionym przez Wydział Prasowy Komisariatu Rządu. Kierownik oświadczył policji, że numer został wydrukowany 15 grudnia, obowiązkowe egzemplarze odesłano tego samego dnia do Wydziału Prasowego, na co jest pokwitowanie, zaś cały nakład redakcja odebrała w ciągu 15 i 16 grudnia. Ponieważ policja udała się do redakcji, kierownik radził, by pozostałe w redakcji egzemplarze ukryć, zostawiając tylko dwa.

Redakcja mieściła się przy ul. Wilczej 6. Na szczęście przy Wilczej 9 mieszkała moja szwagierka, do której szybko wynieśliśmy resztę egzemplarzy. Gdy zjawili się policjanci, wyraziłem im ubolewanie, że aż we dwóch musieli się fatygować raptem po 2 egzemplarze, lecz zjawili się o 2 tygodnie za późno, bo cały nakład już się rozszedł.

Po wyjściu policjantów przyjrzałem się bliżej nakazowi konfiskaty tymczasowej i stwierdziłem, że brak w nim wymaganego przez przepisy określenia, na mocy którego artykułu dekretu prasowego lub kodeksu karnego został wystawiony. Jako prawnik z wykształcenia interesowałem się zawsze prawem prasowym i studiowałem przepisy, co mi zresztą oddawało usługi jako dziennikarzowi i naczelnemu redaktorowi paru czasopism. Otóż prawo prasowe z 10 V 1927 r. zostało uchylone przez Sejm w 1930 r., na skutek czego obowiązywały w dalszym ciągu przepisy dekretu prasowego z 7 II 1919 r. W myśl tych przepisów Wydział Prasowy Komisariatu Rządu na m. st. Warszawę obowiązany był, jako władza nadzorcza I instancji nadzorująca prasę, natychmiast po otrzymaniu z drukarni trzech obowiązkowych egzemplarzy zapoznać się z treścią czasopisma. W wypadku stwierdzenia, że redakcja naruszyła przepisy prawa prasowego, lub gdy Wydział Prasowy uznał, iż popełniła ona w treści przestępstwo przewidziane w kodeksie karnym, zarządzał tymczasową konfiskatę całego nakładu (co się nazywało potocznie zajęciem lub aresztem) i miał obowiązek najpóźniej w 30 dni po zajęciu skierować do właściwego sądu (w Warszawie do specjalnego wydziału do spraw prasowych Sądu Okręgowego) wniosek o zatwierdzenie konfiskaty. Gdyby Wydział Prasowy nie uczynił tego we właściwym czasie, zajęcie automatycznie upadało. Jeżeli zaś Sąd Okręgowy otrzymał umotywowany wniosek o zatwierdzenie konfiskaty, to albo ją zatwierdzał, albo uchylał. Od decyzji tego Sądu nie było odwołania. Posiedzenia Sądu w sprawach prasowych

należą do tzw. gospodarczych, tj. odbywają się bez udziału stron, a uczestniczą w nim tylko sędziowie, prokurator i protokolant.

Było już za późno, aby udać się po wyjaśnienia do Wydziału Prasowego, więc odłożyłem tę wizytę do następnego ranka. A tymczasem zastanawiałem się nad niezwykłymi okolicznościami tej konfiskaty, której wytłumaczenia nie znalazłem w przepisach prasowych. Przeciwnie, Wydział Prasowy Komisariatu Rządu zainteresował się tym numerem „Wiadomości Turystycznych” — wbrew przepisom — dopiero po 15 dniach od otrzymania obowiązkowych egzemplarzy.

Nazajutrz rano zgłosiłem się do kierownika Wydziału Prasowego z żądaniem prawnego uzasadnienia nakazu. Kierownik w bardzo uprzejmy sposób tłumaczył się, że tej sprawy nie zna, że na nakazie figuruje podpis jego zastępcy, którego zaraz sprowadzi. I rzeczywiście, za chwilę przyprowadził starszego pana, który oświadczył, że inkryminuje się redakcji „Wiadomości Turystycznych” obrazę prezydenta Rzeczypospolitej. Na moje zapytanie wyjaśnił, że obraza nastąpiła wskutek tego, iż fotografia prezydenta umieszczona jest w końcu numeru w opisie Spały, podczas gdy powinna być na pierwszej stronie, a w każdym razie przed fotografią wojewody. Wymienił przy tym art. 128 rosyjskiego kodeksu karnego. Orientowałem się dobrze w treści tego artykułu. Brzmiał on: „winny okazania zuchwałego nieposzanowania władzy najwyższej podlega karze od 1 do 4 lat więzienia”. Wprawdzie pojęcie władzy najwyższej w pierwszych latach okresu międzywojennego odnosiło się do Sejmu, jednak władze administracyjne i sądowe z biegiem lat rozciągnęły w praktyce to pojęcie również na osobę prezydenta.

Na to oświadczenie parsknąłem śmiechem i powiedziałem cenzorowi: „Niech pan nie opowiada takich bzdur. Ja panu przedstawię egzemplarz tygodnika »Kino« sprzed paru tygodni. Na czwartej stronie zamieszczono tam fotografię prezydenta Mościckiego, a na tytułowej figurują trzy prawie gołe girlsy. A przecież tego numeru »Kina« pan nie skonfiskował. Niech pan wymyśli lepiej coś mądrzejszego”. Cenzor nawet się nie obraził, tylko chwilkę pomyślał i powiedział: „Ja się zastanowię. Niech pan redaktor przyjdzie 2 stycznia, a ja do tego czasu ustalę ostatecznie artykuł kodeksu karnego”. Rozmowie tej przysłuchiwał się kierownik Wydziału, młody człowiek o dość sympatycznym wyglądzie, ale się do niej nie wtrącał.

Jak się dowiedziałem od kolegów-dziennikarzy, kierownik Wydziału Prasowego został mianowany na to stanowisko przez b. komisarza rządu, a przedtem wojewodę białostockiego, M. Zyndram-Kościałkowskiego, który od czerwca 1934 r. był ministrem spraw wewnętrznych. Według jednych moich informatorów był to porucznik, a według drugich — starszy sierżant żandarmerii, pełniący funkcję szefa ochrony osobistej wojewody

białostockiego. Kierownik oczywiście nie miał zielonego pojęcia o prawie w ogóle, a o prasowym w szczególności. Faktycznym więc cenzorem był jego zastępca, Rosjanin z pochodzenia, osiadły od dawna w Warszawie, a po 1918 r. — na podstawie opcji — obywatel polski. Przed opuszczeniem Warszawy przez Rosjan w sierpniu 1915 r. był przez szereg lat redaktorem „Warszawskiej Gazety Policyjnej”, wydawanej przez kancelarię oberpolicmajstra. Jak widać zatem, obaj cenzorzy mieli „wyjątkowe” kwalifikacje do cenzurowania prasy w niepodległej Polsce! Nie zapamiętałem, niestety, ich nazwisk, które miałem zanotowane w swoich zapiskach w Warszawie.

Przy następnej wizycie cenzor oświadczył mi, że ustalił już ostatecznie kwalifikację prawną aresztu „Wiadomości Turystycznych”. Jest to mianowicie art. 263 rosyjskiego kodeksu karnego. Szczególnie dobrze pamiętam treść tego artykułu. Kończyłem prawo w Kijowie przed I wojną światową i tam rozpocząłem praktykę — będąc jeszcze studentem — w „Dzienniku Kijowskim”. Wówczas rosyjskie władze administracyjne stale powoływały się na ten artykuł przy nakładaniu kar pieniężnych lub aresztu na redaktorów różnych pism, głównie lewicowych lub narodowych, w szczególności zaś ukraińskich i żydowskich. Artykuł ten mówił o „rozpowszechnianiu świadomie fałszywych, mogących wywołać niepokój publiczny, wieści o rozporządzeniach rządowych, klęskach społecznych lub innych wydarzeniach” i za te przestępstwa przewidywał kary, nakładane przez władze administracyjne, w postaci aresztu od 1 do 3 miesięcy lub grzywny od 100 do 300 rb. W Polsce zaś kary były od 1 do 3 miesięcy lub grzywny do 600 zł. Kwalifikacja ta wywołała więc nie mniejsze moje zdumienie niż poprzednia. Na moje zapytanie cenzor wyjaśnił, że dopatruje się przestępstwa w słowach: „Pierwszą codzienną czynnością pana prezydenta w Spale jest obecność na porannej mszy św. w kaplicy pałacowej”. W tych bowiem słowach pan prezydent przedstawiony jest jako bigot.

Po takim *dictum* zrozumiałem, że szkoda czasu na dalszą rozmowę i poprosiłem cenzora tylko o możliwie prędkie — nie czekając 30 dni — skierowanie sprawy do sądu.

Podczas mej wizyty w Komisariacie Rządu dzwonił do redakcji wicewojewoda Godlewski i prosił o szybkie skomunikowanie się z nim. Okazało się, że województwo i starostwa otrzymały z Komisariatu Rządu (w myśl przepisów zresztą) zawiadomienie o zajęciu „Wiadomości Turystycznych” oraz że już telefonowali starostowie z zapytaniem, jak mają postąpić z otrzymanymi egzemplarzami „Wiadomości Turystycznych” wobec dokonania ich zajęcia. Wicewojewoda polecił wysłać natychmiast telefonogramy do wszystkich starostw, aby nic nie przedsięwzięli i czekali na instrukcje. Wicewojewoda był zdumiony i poruszony nie mniej niż ja.

Telefonował już do komisarza rządu Władysława Jaroszewicza, lecz okazało się, że jest on nieobecny w Warszawie i wróci dopiero za parę dni. Jednocześnie wicewojewoda wyrażał obawę, że sprawa ta wywoła oburzenie wojewody na niego i na mnie, żeśmy go lekkomyślnie wpłatali w jakąś niezrozumiałą aferę i skompromitowali jako protektora tego wydania. Wojewoda miał powrócić do Warszawy też za parę dni.

Zreferowałem wicewojewodzie moje rozmowy w Wydziale Prasowym i wyraziłem przekonanie, że konfiskata — jak wskazują okoliczności — nastąpiła nie z inicjatywy Wydziału Prasowego, lecz zamieszane tu są wyższe władze, a może nawet Zamek. Do tego przypuszczenia miałem pewne — a jak się później okazało — słuszne podstawy. Obiecałem, że w ciągu dwóch, a najwyżej trzech dni dotrę przez swoje znajomości do źródła tej afery i wyjaśnię sprawę, zanim powróci wojewoda. Uspokoiwszy nieco wicewojewodę, skomunikowałem się telefonicznie z szefem biura prasowego BBWR, redaktorem Mieczysławem Birnbaumem, moim nie tylko dobrym znajomym (znałem go jeszcze jako małego chłopca i całą jego rodzinę), lecz również byłem uczniem z czasów strajku szkolnego w 1905 r., gdy ja byłem strajkującym studentem UW i wykładowcą na tajnych kompletach, a Mietek był w 3. klasie kompletów. Birnbaum był kapitanem rezerwy, pracował niegdyś w wywiadzie wojskowym i miał duże stosunki w sferach rządowych.

Zobaczyłem się z nim jeszcze tego samego dnia, przedstawiłem dokładnie sprawę i umówiłem się, że następnego dnia przyjdę do niego do biura, a on w mojej obecności przeprowadzi telefoniczne rozmowy z odpowiednimi „czynnikami”. Nazajutrz Birnbaum zadzwonił przy mnie do dyrektora departamentu politycznego MSW, Myślińskiego, któremu podlegały sprawy prasowe, i dowiedział się, że to on właśnie wydał polecenie konfiskaty „Wiadomości Turystycznych” „na interwencję Zamku”. Powiedziałem wtedy Birnbaumowi, że mam podstawy do przypuszczania, iż musiał w tym maczać palce zięć prezydenta (mieszkający w Zamku), wiceminister komunikacji inż. Aleksander Bobkowski. Z kolei Birnbaum zatelefonował do dyrektora kancelarii cywilnej prezydenta Bronisława Hełczyńskiego (z którym *notabene* rozmawiał „na ty”), opowiedział mu całą sprawę, dodając, że dotyczy ona jego przyjaciela red. Stanisława Garzteckiego, powtórzył rozmowę z Myślińskim i zapytał, kto mógł z Zamku wydać polecenie Myślińskiemu. Hełczyński powiedział, że kancelaria nie ma z tym nic wspólnego, natomiast wiadomo mu jest, iż u Myślińskiego interweniował w tej sprawie min. Bobkowski, który zresztą sam mu o tym wspominał, nie kryjąc swego antagonistycznego stosunku do „Wiadomości Turystycznych” z powodu prowadzenia na ich łamach kampanii przeciwko budowie kolejki linowej na Kasprowy Wierch. W „sferach” zamkowych wiadomo było, że projekt ten jest „oczkiem w głowie”

Bobkowskiego. Potwierdziłem Birnbaumowi, że istotnie na łamach „Wiadomości Turystycznych” ukazywały się artykuły przeciwników projektu Bobkowskiego, pisane przez wybitnych działaczy turystycznych oraz „ochroniarzy” (tak nazywano członków Ligi Ochrony Przyrody). W szczególności ostre w tonie były artykuły prof. W. Szafera, prezesa Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Powiedziałem także, iż jeszcze przed konfiskatą Bobkowskiego, jako wiceminister komunikacji, któremu wtedy podlegał „Orbis”, wydał zarządzenie dyrekcji „Orbisu”, aby zaprzestała zamieszczać ogłoszenia w „Wiadomościach Turystycznych”. Powiadomił o tym redakcję ówczesny kierownik działu propagandy „Orbisu” Janusz Makarczyk.

Na skutek otrzymanych za pośrednictwem Birnbauma wyjaśnień w innym świetle ukazała mi się żalсна rola zastępcy kierownika Wydziału Prasowego Komisariatu Rządu, który biedził się nad znalezieniem artykułu kodeksu karnego, usprawiedliwiającego konfiskatę. Nie miał on odwagi przeciwstawić się poleceniu dyrektora departamentu, tak jak Myśliński nie chciał się przeciwstawić prośbie zięcia prezydenta — bo chyba nie żądaniu? Gdy naciskałem cenzora o wskazanie podstawy prawnej konfiskaty, nie potrafił on wymyślić nic sensownego i sam chyba rozumiał, że dawał mi bzdurne określenia „przestępstwa”, podciągając je pod artykuły 128 i 263 kk. Nie potrafił bowiem znaleźć artykułu, przy którego pomocy miał zaprzeczyć samemu sobie. Przecież po przeczytaniu numeru „Wiadomości Turystycznych” 15 grudnia nie dostrzegł w nim nic przeciwnego przepisom dekretu prasowego i postanowieniom kodeksu karnego.

Powiadomiłem niezwłocznie wicewojewodę Godlewskiego o rezultatach moich „dochodzeń”. Nie pozostało więc nic innego, jak czekać, aż Wydział Prasowy wniesie sprawę do sądu, gdyż nie może on przecież cofnąć konfiskaty. Nawet gdyby prawo przewidywało taką ewentualność, zastosowanie w danym wypadku takiego przepisu byłoby przeciwstawieniem się poleceniu — choć bezprawnemu — swej władzy na wysokim szczeblu. Na taki heroiczny czyn nie zdobyłby się żaden niższy urzędnik. Prosiłem także o zawiadomienie wojewody po jego powrocie, że chcę się zgłosić do niego, aby mu dać szczegółowe wyjaśnienia w sprawie konfiskaty.

Wojewoda przyjął mnie strasznie wzburzony. Biegał wprost po swym gabinecie, używał w określeniach języka „marszałkowskiego”, gęsto naspikowanego nieparlamentarnymi wyrazami. Ciągłe powtarzał, że „został skompromitowany”. Wyjaśniłem mu wszystkie okoliczności sprawy, z których jasno widać, że Wydział Prasowy Komisariatu Rządu nie śmiał postąpić inaczej wobec nacisku z góry. Staralem się wytłumaczyć wojewodzie, że sprawa na pewno się skończy uchyleniem konfiskaty przez

Sąd Okręgowy i że co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Trzeba jednak czekać na jej epilog najpóźniej do 3 lutego, gdyż według prawa Wydział Prasowy musi wnieść sprawę do sądu najpóźniej do 30 stycznia, sąd zaś musi ją rozpatrzyć i wydać postanowienie w ciągu 3 dni.

Mniej więcej w połowie stycznia zatelefonował do mnie kierownik Wydziału Prasowego, że chciałby się ze mną spotkać na neutralnym gruncie i pomówić w sprawie konfiskaty. Zdziwiło mnie to i zarazem zaintrygowało. Czyżby jakieś nowe naciski z góry? Zaprosiłem go na następną dzień na dwunastą do restauracji „Gastronomia”, gdyż o tej porze — powiedziałem — jest tam jeszcze pusto i można będzie spokojnie pomówić. Propozycja moja została przyjęta. Uważałem jednak, że na wszelki wypadek dobrze będzie mieć świadka tej rozmowy, zaprosiłem więc także mego serdecznego przyjaciela red. Stefana Magenheima, który wtedy pracował również w biurze prasowym BBWR. Przedstawiłem go jednak szefowi cenzury jako członka redakcji „Wiadomości Turystycznych”, znającego tę sprawę. Aby stworzyć nieprzymuszoną, swobodną atmosferę, nie rozpocząłem od razu rozmowy na właściwy temat, lecz rozmawiało się z początku „o wszystkim i o niczym”, gęsto opróżniając przy tym kieliszki; czekałem bowiem, aż szef sam zacznie mówić. Po którymś tam życzeniu sobie wzajemnie „zdrowia” szef wreszcie rozpoczął od usprawiedliwiania się, że Wydział Prasowy musiał zarządzić konfiskatę z rozkazu wyższej władzy, czego dowodem jest fakt, iż Wydział nie zaczęł pisma po otrzymaniu w połowie grudnia obowiązkowych egzemplarzy oraz że nie pozostaje mu w zasadzie nic innego, jak tylko skierować sprawę do sądu. W zaistniałej bowiem sytuacji Wydział nie może przecież cofnąć konfiskaty, bo „władza nie może się mylić” i on niczym nie mógłby się wytłumaczyć przed swoją wyższą władzą. Namyslał się jednak nad tą niezwykle sprawą i przyszedł mu do głowy taki projekt: „Może by się pan redaktor zgodził — powiedział — na dobrowolne wycięcie z zajętych egzemplarzy tej kartki z opisem Spały i fotografią prezydenta. Redakcja wydrukowałaby na nowo tę kartkę z odpowiednią zmianą tekstu i przesłała do starostw, aby tam wycięto kartki i na ich miejsce wklejono nowe. To byłby stosunkowo niewielki koszt, a wtedy zwolnilibyśmy panom tych parę tysięcy zajętych numerów. Bo przecież z sądem to na dwoje babka wróżyła: może uchyli, a może zatwierdzi konfiskatę. Przecież nie jest również wykluczony nacisk na sąd ze strony najwyższych władz”.

Przyznam się, że zdębiałem, usłyszawszy tę propozycję. Natychmiast jednak zaproponowałem, abyśmy się napili wódki, po czym odpowiem. Chodziło mi bowiem tylko o zastanowienie się przez chwilę nad formą reakcji na nią, a nie nad *meritum* mej odpowiedzi. Nie mogło być przecież mowy o tak dobrowolnym *autodafé*. Potem spokojnie i rzeczowo

zacząłem mu tłumaczyć, że jako prawnik z wykształcenia orientuję się w kodeksie i w procedurze i mam absolutną pewność, iż sąd uchyli konfiskatę jako pozbawioną nawet cienia podstawy prawnej. Tę sprawę zbadałem i znam całą jej „podszewkę”. Po drugie zaś ja zapewniłem wojewodę i wicewojewodę warszawskiego, że redakcja nie ponosi żadnej winy za spowodowanie zajęcia, wyjaśniłem, jak do tego doszło oraz stwierdziłem, że Wydział Prasowy również nie ponosi winy za wykonanie polecenia swej wyższej władzy, a teraz ma obowiązek skierować sprawę do sądu. Czy miałbym teraz zaprzeczyć samemu sobie i wyglądać jak niedowarzony młodzieniec? Wreszcie zapewniłem szefa, że nie mam ani do niego, ani do jego zastępcy pretensji z powodu tej konfiskaty, zaś rozstrzygnięcie sądu zdejmie z nich wszelką odpowiedzialność przed wyższą władzą za jej losy. Oni bowiem uczynili wszystko, czego od nich władza żądała, nie cofając się nawet przed ośmieszeniem się przed redakcją „Wiadomości Turystycznych”. Teraz zaś przekażą sprawę sądowi, gdyż tego wymagają przepisy dekretu prasowego.

Widząc markotną minę szefa, że jego znakomity — jak mu się pewnie zdawało — projekt okazał się niewypałem, zaproponowałem na pożegnanie wypicie „strzemiennego” — i na tym się nasze spotkanie zakończyło.

Zastanawiałem się potem nad tą rozmową z szefem cenzury i przyszedłem do przekonania, że dobrze by było poddać obecny stan sprawy ocenie jakiegoś poważnego prawnika-praktyka. Przypomniałem sobie Kazimierza Rudnickiego, prezesa Sądu Apelacyjnego w Warszawie, b. wiceministra sprawiedliwości. Z Rudnickim łączyła mnie znajomość od 1896 r., kiedy byłem w 1 klasie gimnazjum, on zaś na 1 roku prawa UW, a rodzice nasi utrzymywali z sobą stosunki towarzyskie. Zatelefonowałem do niego i nazajutrz przyjął mnie w swym gabinecie w sądzie. Opowiedziałem mu szczegółowo historię tej konfiskaty i poprosiłem o zaopiniowanie, czy postępowałem w tej sprawie właściwie i czy nie zaniedbałem czegoś, co powinienem był zrobić w tej sytuacji. Rudnicki nie tylko zaaprobował moje postępowanie, ale upewnił mnie w przekonaniu, że nie ma nawet jednej szansy na sto, aby Sąd Okręgowy zatwierdził konfiskatę. Następnie podniósł słuchawkę i polecił sekretarce połączyć go z prokuratorem Żeleńskim w Sądzie Okręgowym. Po chwili usłyszałem, jak mówił: „Panie kolego, chcę skierować do pana mego dobrego znajomego, redaktora Stanisława Garzdeckiego, który wyłuszczy panu cel swej wizyty... Dziękuję. Więc jutro rano o 10 p. Garzdecki zgłosi się do pana”. I spojrział pytająco na mnie. Kiwnąłem mu głową na znak, że mi to odpowiada. Jak poinformował mnie prezes Rudnicki, Żeleński (*notabene* bratanek Boya-Żeleńskiego) jest właśnie prokuratorem do spraw prasowych. Radził mi więc dokładnie poinformować go i pokazać mu egzemplarz „Wiadomości Turystycznych” z zakwestionowanym przez cenzurę ustępem oraz zapytać o jego zdanie w tej sprawie. Tak też postąpiłem. Prokurator Żeleński przy-

jął mnie bardzo uprzejmie, przeczytał opis Spały i oświadczył, że nie widzi żadnych podstaw do zatwierdzenia wniosku o konfiskacie.

W przededniu ostatniego terminu wniesienia sprawy do sądu zatelefonowałem do kierownika cenzury z zapytaniem, czy wystąpi do sądu, czy też może dopuści do automatycznego upadku konfiskaty. Odpowiedział mi, że jego zastępca już przygotował wniosek, jutro będzie dostarczony do sekretariatu sądu oraz że nie mógł postąpić inaczej ze względu na znane mi okoliczności sprawy. Oczekałem więc do 5 lutego i zgłosiłem się do sekretariatu do spraw prasowych Sądu Okręgowego po odpis decyzji. Była ona istotnie taka, jak przewidywałem, tj. wniosek o zatwierdzenie konfiskaty został uchylony.

Po otrzymaniu odpisu udałem się jeszcze raz do prezesa Rudnickiego, aby mu zakomunikować postanowienie Sądu — o co mnie zresztą prosił. Okazało się, że prokurator już go poinformował telefonicznie o wyroku. Prawdopodobnie sądził z zainteresowania się prezesa tą sprawą, że obchodzi go ona w jakiś sposób. Przy tej sposobności dowiedziałem się też, że na posiedzeniu sądu prokurator krótko oświadczył, iż dla braku jakichkolwiek cech przestępstwa z art. 263 wnosi o uchylenie konfiskaty tymczasowej, zarządzonej przez Wydział Prasowy Komisariatu Rządu. Jest to chyba rzadki, a może jedyny wypadek, aby oskarżyciel publiczny wystąpił w roli obrońcy oskarżonego.

Po wizycie u prezesa Rudnickiego udałem się do wicewojewody, któremu z triumfem pokazałem odpis postanowienia Sądu i prosiłem o powiadomienie o decyzji sądu wojewody Nakoniecznikowa-Klukowskiego. Poinformowałem wicewojewodę, że trzeba parę dni poczekać, aż Komisariat Rządu roześle do starostów telefonogramy o uchyleniu konfiskaty. Po upływie 3 dni zatelefonowałem do Wydziału Prasowego z zapytaniem, czy już wysłali telefonogramy. Telefon odebrał ten sam zastępca kierownika, który kwalifikował przestępstwo „Wiadomości Turystycznych”. Oświadczył mi tonem wyraźnie poirytowanym, że „nie wysłali i nie wysłali”. Z jego tonu czułem, iż był zawiedziony w nadziei, że jednak sąd zatwierdzi konfiskatę. Oświadczenie jego było nowym bezprawiem, gdyż Wydział Prasowy obowiązany był wysłać telefonogramy tej treści. Nie widząc na razie sposobu zakończenia sprawy, udałem się po radę do wicewojewody. Ten od razu znalazł rozwiązanie zagadnienia: „Niech pan dostarczy jutro — powiedział — 24 odpisy z odpisu postanowienia sądu, to województwo uwierzytelnia je, zostawi sobie jeden egzemplarz do akt, a resztę roześle natychmiast do wszystkich starostw wraz z poleceniem przekazania należności »Wiadomościom Turystycznym«”. Wszystko odbyło się dalej w myśl słów wicewojewody i na tym się skończyła — pomysłnie dla „Wiadomości Turystycznych” — „historia pewnej konfiskaty”.